

Die 29 julii
Dydnia

Do wyjazdu Jacek nie spotkał się już z Przeclawem. Od chwili gdy podjął ostateczną decyzję o wyjeździe, żył tylko moskiew-

skim Marsem i ze szczętem pochłoneły go przygotowania. Najpierw zabrał z folwarku wozy – te same zresztą, które wróciły z nim z wojny. Jeśli bowiem skarbnik i dwie kolasy wytrzymały już trakty inflanckie, litewskie i podlaskie, pewne było jak amen w pacierzu, że nie tak prędko rozsypią się na moskiewskich.

Potem szła rekrutacja zbrojnej służby do wozów. A zatem Borek i Mykoła – to raz. Z czeladzi dworskiej wziął Mikłusza i małego Jaśka, jako chłopca do pomocy przy zbroi – to dwa. A na dawnych pocztowych spod chorągwi mógł liczyć tak czy owak – to trzy.

Później stanęła sprawa zapasów, które każdy polski szlachcic musiał na wojnie mieć własne, bo towarzysze z chorągwi husarskich i kozackich sami zaopatrywali się w żywność. A więc najpierw zabrał pan Jacek z folwarku mąki, krup i grochu korcy dwadzieścia miary sandomierskiej, w beczkach i półbeczkach, dziesięć beczek owsa, pięć pszenicy, dziesięć połci słoniny, dwa półbeczki soli na potrzebę. A nadto jeszcze: trzy beczki słoðu, dwie małmazji, jedną węgrzyna i jedną rywułu, to jest wina włoskiego na uczęstowanie panów braci towarzyszy. Uwiózł też drugie sześć beczek piwa lwowskiego tudzież osiem garnców sucharów.

A w dalszej kolejności szły wojenne sprzęty i aparaty, bez których trudno byłoby wyruszać na wojnę. A więc zbroja husarska zwykła. Zbroja husarska bastardowa. Kirys paradny, cztery szyszaki, karwasze. Pancierz zdobiony i stary juszman, to jest kolczuga wzmocniona dodatkowymi żelaznymi płytkami. Namiot dla czeladzi. Namiot towarzyski, rondle, puste beczki na wodę, kosy, ośniki i inne sprzęty gospodarskie.

Do tego doszły jeszcze dwa kirysy, naramienniki i karwasze dla pocztowych, cztery skrzydła husarskie, pięć szabel węgierskich oraz oczywiście części konnego moderunku, czyli ekwipunku żołnierskiego. A więc na wozach ładowały kolejno: trzy kulbaki tureckie, z wysokim przednim łękiem i szeroką ławką zamiast tylnego, terlica i jarczaki – tureckie twarde siodła do koni powodowych pod czeladź i pachotków. Uzdzienica na

łeb koński, o pasach zdobionych połączanymi guzami i płytkami na naczółku i nachrapniku, wykańczanych karneolami, w której Jacek chciał wjechać do Moskwy, a także trzy zwykłe uździenice skórzane, choć z mosiężnymi blachami, i jeszcze jedna bez ozdób. Do wszystkich, ma się rozumieć, munsztuki z czankami, czyli kielzna, dzięki którym jednym ruchem lewej ręki można było z ognistego ogiera uczynić łagodnego baranka.

I wreszcie konie.

Potrzeba sporo wierzchowców na wyprawę do Moskwy, gdzie gościńce są jeszcze gorsze niż w Sanockiem, a zanim wjedzie się do świętego miasta carów, czeka człowieka włóczęga po rozdrożach i ostępach. Do tego właśnie najlepsze są polskie konie, które wiatr z pól i stepów zaklinał za młodu w wierzchowce lotne jak ptaki, tak prędkie, że prawie nietykające kopytami ziemi i piasku. Nieustępliwe jak powracający orkan, siadłe – żywiące się lada badyłami spod śniegu, a tak wytrzymałe, że można było na nich przejechać siedem mil polskich w pięć godzin, co się przelicza na więcej jak pół drogi z Warszawy do Radomia.

Na takim właśnie koniu bliżej było królowi Henrykowi Walezjuszowi z Krakowa do Paryża niżli z własnej komnaty do leciwych wdzięków królowej Anny Jagiellonki. Na takim wierzchowcu ze stolicy do Drezna jechało się trzy dni. A z Krakowa do Wiednia jeden dzień i jedną noc bez wytchnienia, o ile nie odpadło siedzenie i nogi. Ile zaś mil i stajań zrobiły te konie w wojsku, w Inflantach, w Multanach, w czasie wojny kozackiej Nalewajki, to tylko sam Pan Bóg i aniołowie jedni porachowali.

Koń jaki jest, każdy widzi. Ale nie każdy dostrzeże to, co w jego postaci się kryje. A więc że na polskim wierzchowcu, większym niż natolijczyk, mniejszym zaś niż ociężałe szwedzkie hestry i niemieckie fryzy (którym nogi wrażliwi na piękno Polacy skrobali szkłem, były bowiem kosmate jak najstarsza ladcznica), siedzi się pewnie i wygodnie, a nie jak na becce piwa na wzburzonym morzu. Husarski wierzchowiec czy zwykły podjezdek jest zaś z natury swojej wielce bystry i pojętny; prawdziwy turek, ale z Polski, co po matkach branych od pohańców

wziął szybkość i szlachetną linię, a po polskich ogierach siłę i wytrzymałość, która mu pozwala gnać bez wytchnienia. Taki koń odpuszczony na wędzidle rwie, jakby ścigać chciał się z wichrem, zaś wstrzymany na munsztuku i mocnych nogach pozwala prowadzić się strzemię w strzemię w szyku wojskowym.

A nade wszystko koń polski był na zagrodzie szlacheckiej podmiotem, nie zaś przedmiotem życia. Z cnót kardynalnych polskich i ziemiańskich – szabli, mocnej głowy i rączego wierzchowca – ta ostatnia była równie ważna, co dwie pozostałe. Co też, niestety, rodziło pytanie, cóż pozostanie z Rzeczypospolitej i Polaków wtedy, kiedy ich konie i szable przestaną bić wrogów na bitewnych polach? Chyba tylko picie i wspomnianie dawnych zwycięstw...

Takich właśnie koni potrzebował pan stolnikowic.

I takie właśnie stały w stajni w Dydni. Do wyboru, do koloru, a choć sporo rozdał pan Aleksander najbliższym sąsiadom i kompanom, to jednak zostało ich dość, aby wystawić nie jeden, ale przynajmniej trzy poczty husarskie.

I tak jako pierwszą Jacek kazał wyprowadzić ze stajni tarantowatą Hetmankę przyozdobioną złotawą uździenicą, z jarczakiem, czyli twardą kulbaką, na grzbiecie i dodatkowo karmazynowym czołdarem – tkaniną turecką okrywającą siodło aż po zad konia. Pacholek kawalkatora Hańczy przegonił konia w jedną stronę, potem w drugą. Dydyński nawet nie patrzył. Hetmanka była jego ulubioną kobyłą; dobry koń, wprawiony w bitwach, wyjeżdżony po polach, lasach i bezdrożach. Bez narowów, bez wad i odmian, co wedle niektórych wróżyło nieszczęście; jednak na razie przeżył na niej dwie bitwy, nie mówiąc już o potyczkach ze Szwedami, pościgach i rabunkach. Chód miała lekki, jak tancerka fenicka, może trochę bywała twarda w galopie; łeb mały, lecz między uszami szeroki, jak zwykle u polskich koni; szyję może odrobinę za grubą, ale stojąc w folwarcznej stajni, zaokrągliła się trochę na owsie i sianie. Było jasne jak słońce, że jeśli któryś z koników z Dydni pójdzie pod panem Jackiem na Moskwę, to Hetmanka pójść musi.

Potem Hańcza wyprowadził na ogłędziny konie pocztowych. Tu też niewiele było do zastanowienia. Oba podjezdki sprawdzone w bojach: pierwszy cisawy Nieborskiego, drugi bułany, z ciemną pręgą na grzbiecie i odrąbanym lewym uchem – Świrskiego. Mocne i zdrowe, choć nie tak śmigłe jak Hetmanka.

A dalej... I tu właśnie był kłopot. Wyruszenie na wyprawę, z którą mogły równać się chyba tylko wojaże Kolumba i Magellana, bez zapasowych koni było jak wybranie się bez dobrych butów na pielgrzymkę. I nie szło o to, że najgorszy chmyz z husarskich wierzchowców (który i tak wyglądał przy takich szwedzkich hestrach niby szlachcianka przy szpetnych plebejach) kosztował najmniej dwieście złotych, bo i tak nie starczyłoby na niego nawet kilka kwartałów żołdu, ale o to, iż konie te były ujeżdżone przy ziemi. A więc specjalnie ćwiczone do zawracania, obrotów i szarzy. Wojując w granicach Rzeczypospolitej, łatwo było sprowadzić sobie takiego wierzchowca z rodzinnego domu, gdzie cierpliwy ojciec uczył je do lat siedmiu trudnej sztuki stawania w polu, dostać rumaka jako zapomogę od hetmana czy króla albo nawet kupić. Ale gdzie zaopatrzyć się w husarskiego konia w Moskwie? W krainie lodów i niedźwiedzi, gdzie łatwiej pewnie można było spotkać upiora albo wilkołaka niż dobrego podjezdka?

Dlatego na taką wyprawę musiał wziąć dużo więcej koni, niż miał ludzi w poczcie.

– Panie Hańcza. Dawaj, waść, Kapera!

To był nowy nabytek nieboszczyka ojca. Wrony wałach ze strzałką na czole i odmianą na wyskocznej, to jest prawej przedniej nodze. Dydyński polubił go od razu. Wyprowadzony przed stajnię, przegoniony kilka razy wokół szlachcica, szedł z cofniętym łbem przybrany kitą ze strusich piór. Wstrzymany na munsztuku nie wyrywał się i nie szarpał głową jak lada chmyz czy sekiel. Stał dumnie wyprostowany, jak polski szlachcic, a potem zagrzebał nogą, uderzył podkutym kopytem w ziemię raz, drugi i trzeci, nie mogąc się widać doczekać, kiedy wypuszczą go w skok po miękkiej trawie. A kiedy szlachcic nakazał pacholikowi

przehalopować po majdanie, poszedł lekkim, zajęczym skokiem, prężąc szyję, ganaszując głowę i z sarnią lekkością prężąc krępy, ale bynajmniej nie gruby zad. Parskał i dyszał, gdy zatrzymał się o krok od stolnikowica. Wyciągał łeb ku pozostałym koniom, spoglądając na nie żałośnie tęsknymi, wilgotnymi oczyma...

Nie sposób było odmówić tej prośbie.

– Do wozu! – rozkazał Dydyński. – Biorę go!

Ze stajni wyprowadzano następne. Dydyński spojrział krzywo na płowego, kościstego sekiela z Siedmiogrodu, odrzucił skarogniadego szłapaka, to jest konia, który w kłusie stawiał tylną nogę nieco wcześniej niż odpowiadającą mu przednią, bo nie bardzo potrafił wyobrazić sobie, jak na czymś tak dziwnym będzie wjeżdżał do Moskwy. Prawda, lubiły takie koniki niewiasty, ale to przecież nie była wina pana stolnikowica, że miały na spódzie nie *necessaria im vita adiumenta*³⁵, ale *uspretulum*³⁶, nie do kłusa stworzone, a wprost do galopu. A swoją drogą, to mógłby wreszcie jeden z drugim królewski koniuszy, masztalerz albo kawalkator, co brał za kwartał służby po dwieście i więcej złotych, wymyślić jakiś sposób dosiadania wierzchowca, aby na koniu i w kulbace zęby nie dzwoniły w kłusie niczym kastaniety.

A potem Hańcza wyprowadził ze stajni siwą Białonózkę, mniejszą nieco od husarskich wierzchowców, lecz prezentującą się przy nich zwinnie, niczym gładka łania przy niedoścignionych, zaprawionych w boju chartach. Jednak gdyby doszło między nimi do wyścigu, przewaga po stronie polskich wierzchowców nie byłaby taka jednoznaczna, bowiem Białonózka szłaby dzielnie na swych wysmukłych kopytkach, szybko niczym polny wiatr. Wpadłszy w ogień, nie zdążyłaby spłonąć; biegając po zbożu, nie zdołałaby nawet dotknąć kłosów. Dydyński miał jeszcze w pamięci jej drobny galop, delikatny cwał, dziarski kłus i kołyszący stęp. W złoconym nachrapniku i naczolniku zdobionym rubinami wyglądała obok innych koni

35 łac. – konieczne do życia środki

36 łac. – żeńskie organa płciowe

jak mała królowna przy księżętach – szlachetnych, lecz nie-dziedziczących tronu. A, oczywiście, była tym piękniejsza, że w przeciwieństwie do księżniczki stała przed Dydyńskim naga i łatwo było naocznie się przekonać o jej smukłej linii. Polskie konie stworzone były do walki, do szarży, ona do tego, by niczym motyl przemykać nad hufcami wrogów.

– Zaprowadźcie ją do stajni – rzekł ponuro Dydyński. Nie mógł uczynić nic więcej, jak tylko pozostawić dzielną klaczkę w domu, licząc na to, że nie zajeździ jej Przeclaw i nie okulawi niedbały stajenny. Białonóżka była natolijczykiem z dalekich pustyń i jako taka nie wytrzymałaby trudów wyprawy. Przecież jego konie nie miały jechać na Moskwę po to, aby paść się na zielonych łąkach, ale przelewać krew na bezkresnych, okrytych lodem przestrzeniach, gdzie hulał wichur, brakło trawy, owsa i jęczmienia. To nie była wyprawa dla takiego wierzchowca.

A potem przywiedziono mu Myszatego – poczciwego kasztanowego wołoszynka, na którym stolnikowic jeździł jeszcze jako dziecko. Konik był niezbyt smukły, z łąnią zaś miał tyle wspólnego, że ścigany przez dworskie kundle przesadził kiedyś częstokół wysoki na trzy stopy. Z łabędzia wziął chyba tylko to, że choćby zżarł stóg koniczyny i opił się wody jak bąk, nie miała się go żadna kolka. A w ogóle był rezolutnej natury, postawiony z Białonóżką u jednego żłobu potrafił w pół pacierza wyjść cały owies szlachetnej księżniczce, bo jego kosmatego łba nie dawało się oderwać od jedzenia nawet parą wołów. Z wyglądu przypominał nieco puszystą kulkę. I wcale łba nie unosił ani nie grzebał kopytami, a już zupełnie nie wynosił się nad inne rumaki.

Jacek wziął go, bo cóż miał robić? Potrzebował małego miezryna pod pachółka albo jakiegoś wałacha jako konia podwodowego, względnie luzaka, gdyby przyszło do końskiej apokalipsy. A Bogiem a prawdą, żal mu było zostawiać w domu tego wierzchowca. Co go czekało tutaj za parę lat? Sprzedaż Żydowi na skóry?

Wziął jeszcze dwa luźne wałachy pod pocztowych. I kościatego sekiela tak na wszelki wypadek.

I oto poczet był gotowy. Dydyński odwrócił się ku wozom, przeliczył konie i... coś mu się nie zgadzało. Poza Hetmanką, dwoma podjezdkami, Kaperem i Myszatym przy burcie wozu – skarbnika – stał siwy koń o ciemnym, głębokim jak jezioro, ale tylko jednym oku. Stolnikowic zamarał. Poznał tego wierzchowca. Sam złapał go w dębinie nad Sanem, przy mogile, w której leżał...

Pan Matiasz Jaksmanicki podszedł do nich szybko i cicho, z czapką w lewym ręku, a z prawą dłonią opartą na rękojeści szabli. Wiatr rozwiewał jego długie, podgolone włosy. Oczy miał nieprzeniknione jak noc.

– Czołem, panie stolnikowicu – rzucił niedbale.

– Witam i rad jestem całym sercem, widząc waszmości w Dydni.

– Nie jesteś rad. – Zimny uśmiech Jaksmanickiego sprowadził Dydyńskiego na ziemię równie szybko i skutecznie co diabeł Twardowskiego z księżycą. – Przynajmniej nie aż tak bardzo, jak byłbyś, gdyby mnie tu nie było. Nie zaprzeczaj, wiem, że nie bardzo jest mi rad twój brat, a już na pewno nie mości pan starosta trembowelski. Nic to, nie przyszedłem rozmawiać tutaj z chmyzami, ale z tobą.

Jackowi nie pozostało nic innego, jak tylko rozłożyć ręce.

– Z czym waść przychodzisz?

– Wiem, że wyjeżdżasz, panie Jacku. To pierwszy, ale nie jedyny powód.

– Taki już mój los... żołnierski.

– Nie, nie twój. Przecież nie jedziesz do Inflant, ale do Moskwy.

– To pokuta za grzechy ojca.

– Znaczy wysyła cię tam zła wola starosty i braterska zawiść. Przybyłem, aby rzec ci, że wcale nie musi tak to się skończyć. Wszystkie sprawy związane z testamentem rozwiązać można w zupełnie inny, prostszy sposób, jak ów gordyjski węzeł Aleksandra.

– To znaczy nastęrczasz mi waszmość swoje usługi?

– Niczego nie stręcę, bo nie zwykłem kupczyć moją szablą jak gach ladacznicą. Ja tylko widzę, że cię ukrzywdzono.

– Panie Jaksmanicki. Jak by tu rzec waszmości... Jeśli zostanie... zabiję Przeclawa. Zarąbię go na amen, na śmierć. Chyba że wcześniej naśle na mnie zabójcę albo otruje mnie jego metresa. A ja wolę być pachołkiem fałszywego carzyka niż bratobójcą.

– Nie będziesz tylko pachołkiem u Dymitra. Dlatego przeprowadziłem ci konia. Poznajesz, prawda?

– To klacz... Wojcieszka? Doprowadziła nas do jego grobu.

– Pomściłeś mego syna jak prawdziwy mąż. Niewielka to wszakże pociecha dla ojca, który stracił jedynego dziedzica. Weź Sonkę na wyprawę do Moskwy. Ona cię nie zawiedzie... Jak nie zawiodła mojego synoczka.

– To... królewski dar. Nie mogę go przyjąć, panie bracie!

– Możesz i pragniesz. Masz ją wziąć, bo nie mam co zrobić z tym koniem. Za bardzo mój syn był z nim związany, abym mógł go sprzedać. Lecz jeśli będzie stał w mojej stajni, zbyt mocno będzie przypominał mi o tym, co straciłem. Nie mogę zatem uczynić niczego więcej, niż podarować go najlepszemu kompanowi Wojcieszka.

– Dziękuję.

– Kiedy już wrócisz, panie Dydyński, a przyjedziesz odmieiniony, to rzecz pewna, powinieneś przyjść do mnie. I przejąć moją szablę.

– Chcesz, abym został zajezdnikiem? Wynajmował się do zajazdów i egzekucji? Ależ ja jestem towarzyszem, i to nie lekkiego, ale poważnego znaku. Nie mogę... Nie chcę.

– Być może zechcesz. Po tym, co zobaczysz w Moskwie.

– Po co te słowa? Przecież wiesz waść dobrze, że nie wrócę. Mój ojciec wydał starszego brata na śmierć, tak jak Przeclaw mnie. Widać tak musi być, aby dopełnił się los.

– Nikomu nic nie jest pisane – pokręcił głową Jaksmanicki. – A choćby było, tedy my, wolni obywatele Rzeczypospolitej, powinniśmy owinąć kule, którymi wystrzelimy w łeb Fortuny,

w papier, na którym spisano boskie wyroki. Wrócisz. I nie prosz nikogo o łaskę. I tyle chciałem powiedzieć.

A potem ów człowiek, dla którego ludzkie żywoty były niczym więcej niż tylko supełkami na rapciach od szabli, oddał Jackowi wodze Sonki, przystąpił do stolnikowica i nakreślił na jego czole krzyż.

Odwrócił się i odszedł do konia, nie mówiąc ani słowa.

Jacek nie wiedział, co rzec. Obrócił się do siwej klaczy, zają rzał w jej piękne oko i złowieszczą ranę po drugiej stronie kształtnego łba.

– Mospanie Hańcza – rzekł – doszyjcie na tranzelce kawał skóry. Zakryjcie jej to.

– Tak jest. Zaraz każę wołać rymarza.

A potem był już ostatni akt dramatu: pożegnanie we dworze.

Nie było łez, nie było zawodzących niewiast, długich błogosławieństw i innych błazeństw dobrych dla czułych opowieści o rycerzach spod kresowych stanic. Po prostu stanął przed bratem i starostą, długo patrzył im w oczy. Przeclaw nie mówił nic, przymknął powieki. Starosta ściągnął kołpak.

– Szczęść ci Boże, mości stolnikowicu – powiedział żałośnie. – Tak, dobrze gadam: niech ci sprzyja Bóg Ojciec Wszechmogący i aniołowie święci. Wracaj do nas cało i zdrowo, panie Jacku, a bądź pewien, że ani twoje poświęcenie, ani pokuta za grzechy ojca nie zostaną pozostawione bez nagrody. Jeśli nie na tym, to już na pewno na tamtym świecie...

– Mówcie mi lepiej wprost: dymaj ze dworu, kpie! Hajda na koń i nie powracaj do nas... Do Dydni, gdzie rozsiądę się jak wojewoda, bo już mi na moich trembowelskich włościach za ciasno – rzekł Dydyński tak zimnym i złym tonem, jak gdyby przez jego usta przemawiał sam Belzebub albo Matiasz Jaksmacki. – Przecież wiecie dobrze, że nie wrócę! Krew moja spadnie na wasze głowy, jak na mego ojca spadła przelana posoka stryja Michała.

– Ja jednak – rzekł cicho starosta – będę się modlił za twój powrót.

– Szczęśliwy z waści człek – mruknął Dydyński. – Masz się za kogo modlić.

Szybkim krokiem odszedł. I tyle go widziano w Dydni.

Gościniec za Dydnią Kilka chwil później

Jechał ponury jak gradowa chmura. Jechał wyniosły i niedostępny. Nie oglądał się za siebie.

Coś jednak kazało mu się odwrócić, spojrzeć po raz ostatni na ojcowską dolinę. Na lasy, pola, szare strzechy chałup. Na obraz wyrzucony z serca na podobieństwo starego kościelnego płótna pełnego wiekowych bohomazów namalowanych za króla Jagiełły albo Bolesława, które zapobiegliwy ksiądz albo kanonik zastępuje nowym płótnem, powstałym wedle reguł i prawideł italskich, skreślonych pędzlem oraz piórem Michała Anioła, Tintoretta i Caravaggia.

Jacek wiedział, że już nie wróci do tej doliny. Nigdy nie zobaczy Dydni; jak jego stryj pognany gdzieś na wschód, do miejsca, w którym wieczny lód skuwa ziemię, a wicher wyśpiewuje pieśń śmierci.

A potem od strony wioski rozległo się tęskne rżenie i łoskot drobnych kopyt.

Przez pola i ruczaje pędziła za nimi Białonózka, przesadzając płoty, z rozwianą grzywą, z przerażeniem w smagłych oczach, na podobieństwo łani zagubionej w ciemnym lesie.

Musiała uciec ze stajni lub z pastwiska, bo na jej łebku widniał sznurowy kantar, pod którym kołysał się kawałek urwanego uwiąz.

Dydyński zawrócił po nią, wstrzymał Hetmankę i czekał.

Spłoszona Białonózka przyszła sama do jego ręki. Zarżała, zatrzymała się na skraju traktu. Nie uciekała, kiedy Borek wyciągnął rękę do jej pyska, nie protestowała, kiedy prowadził ją do najbliższej kolasy.

A Jacek uśmiechnął się.

– Pojedziesz z nami, mała – szepnął. – Na Moskwę. Na skraj świata!

Dydnia

Alkierz we dworze

– Pojechał – syknęła Halszka do ucha bladego Przeclawa. – Poszedł na zatracenie. Bodaj mu czarci duszę rozdarli!

Młodszy Dydyński nic nie odpowiedział.

– Musisz przekonać starostę, aby oddał nam wszystko! Drać tę sprawę dzień po dniu, jak kropla wody opadająca na skałę!

Przeclaw spoglądał na nią jak człowiek wyrwany z głębokiego snu. A potem bez namysłu uderzył otwartą dłoń w gębę niewiasty. Krzyknęła, zaszłochała rozpaczliwie.

A wiarołomny brat poderwał się ze stosu poduszek, rzucił jak ryba pod lodem, szarpnął za płócienne zwoje okrywające głowę.

– Boże, com ja uczynił! – zakrzyknął. – Coś ty wymyśliła, murwo jedna!

A potem, czując, jak spod bandaży zaczyna ściekać mu krew, zajęczał głośno i rozpaczliwie:

– Halszka... Halszka... Ratuj! Zabiłem Jacka.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki